

Koniec świata w Paryżu

AGNIESZKA TABORSKA

Koniec tysiąclecia jest rzeczą względną. Zaćmienie słońca – nie. Dlatego wzbudza popłoch nawet w umysłach udreńczonych przygotowaniami do zamiany w kalendarzykach i komputerach magicznej dziewiętnastki na dwudziestkę.

Podczas zaćmienia, które nawiedziło Paryż w *prima aprilis* 1764 roku, obawiano się zatrutego powietrza i epidemii dżumy. Nam *éclipse* rymuje się z *apocalypse* i drenczy nas wspomnienie „Titanica”, który zatonął na trzy dni przed zaćmieniem 1912 roku. Jesteśmy skłonni uwierzyć świadkom Jehowy, mormonom i adwentystom, że na roku 1999 świat się skończy.

Zakrycie słońca przez księżyc wywołałoby oczywiście jeszcze więcej niepokoju, gdyby zdarzyło się dwa dni później: w piątek trzynastego. Ale i środa jedenastego zasiała popłoch wśród paryżan. Krótko przed nią projektant mody, wyznawca nauk Nostradamusa, Paco Rabanne, przewidywał, że w chwili zaćmienia uderzy w Paryż od trzynastu lat spokojnie krążąca po orbicie stacja Mir, zmieniając stolicę Francji w pogorzelisko. Przepowiednia wywarła tak wielkie wrażenie na mieszkańcach Lyonu, że wyrazili gotowość utworzenia rządu tymczasowego. Sprawdzenie się proroctwa Paco Rabanne’a znaczyłoby po pierwsze, że serce Europy – cudem uchodzące dotychczas z nawałnic historii – tym razem padnie ofiarą nieszczęśliwego splotu zjawiska astronomicznego z produktem sowieckiej nauki. Po drugie, że neon na wieży Eiffla liczący dni pozostałe do Sylwestra z 1999 na 2000 rok nie ma sensu.

Oto, jak wyglądał Paryż czekający katastrofy w dość słoneczny dzień 11 sierpnia 1999 roku. Wczesnym rankiem na posterunkach policyjnych rozdzwoniły się telefony zdenerwowanych obywateli żądających przygotowania miasta na zderzenie z Mirem. Optymiści przemierzali ulice w poszukiwaniu okularów pozwalających patrzeć w słońce i nie oślepnąć, rozdawanych przez rząd w olbrzymiej, lecz niewystarczającej liczbie czterdziestu milionów. Na obwodnicy od świtu straszyły świetlne napisy: *Uwaga! Zaćmienie o 12:23!*

Koło jedenastej na stacje metra wkroczyli policjanci, śledząc migrację tłumów w najlepsze miejsca widokowe. Na dworcach szturm zaczął się dużo wcześniej: część paryżan postanowiła wyjechać – jedni, by w morzu oglądać odbicie niknącego słońca, inni – by na wszelki wypadek nie znaleźć się w fatalnej chwili pod trasą przelotu Mira.

Przed dwunastą opustoszały ulice, zamknięto część sklepów, a w witrynach zawisły kartki tłumaczące nieobecność sprzedawców zaćmieniem. Wiele pracodawców ogłosiło godzinną przerwę, prawo oglądania nieba przyznano więźniom. Tu i ówdzie rozdawano ostatnie okulary, które po południu można było kupić na pamiątkę za dziesięć franków sztuka.

Widmowe miasto zastygło w oczekiwaniu.



fot. Agnieszka Taborska





fot. Agnieszka Taborska



Setki tysięcy podglądaczy słońca usadowiło się przed pałacem Trocadéro, u stóp Sacré Coeur, koło Łuku Défense oraz na Polach Marsowych i Elizejskich. Strategiczna pozycja przed Trocadéro miała tę przewagę, że umożliwiała oglądanie widowiska na tle Wieży Eiffla. A jej cierpliwe liczenie dni nabrało w gasnącym świetle nowego wymiaru.

Na dwie minuty największych ciemności Wieża rozbłysła nocną iluminacją, zauważoną jednak przez niewielu, bo nikt nie chciał odrywać oczu od Słońco-Księżyca. Nagły chłód i wiatr, nisko latające ptaki, przede wszystkim zaś tempo zapadania nocy jak w zdjęciach trickowych oraz poświata nie czerwona, lecz niebieska, wywoływały w ludziach reakcje nieoczekiwane. Jedni się śmiali, inni całowali, a fotografowie – zamiast fotografować – podrzucali z nagłej radości aparaty. Nikt nie zawracał sobie głowy końcem świata. Tu i ówdzie niezainteresowani astronomią złodzieje wykorzystywali chwilę.

Zwierzęta w ZOO zachowywały się racjonalniej: wraz z zapadnięciem mroku ucięły sobie nadprogramową drzemkę, samce niektórych ptaków ruszyły zastąpić samice wysiadujące jaja, oszołomione koguty powitały paniem powrót światła. Bardziej flegmatyczne gatunki nie zauważyły niczego. Większość zwierząt wykazała niezadowolenie nie tyle z nastania nagłych ciemności, ile z tak szybkiego ich końca. Czuli się oszukane jak podróżni w samolocie z Ameryki do Europy, gdy między kolacją a śniadaniem mija akurat tyle czasu, ile trzeba na obejrzenie filmu.

Zaraz po niedosłej katastrofie Paco Rabanne znikł. Nie wyszedł do trzystuosobowego tłumu, który pod jego sklepem świętował odroczenie zagłady Paryża „lampką wina ocalonych” wypijanej na płachcie przygotowanej na zbieranie szczątków Mira. Nie znaleźli go członkowie powołanej *ad hoc* organizacji „Pieprzyć apokalipsę”, gotowi ukarać Rabanne’a za sianie paniki w mieście. Gdzie był – nie wiadomo. Wiadomo za to, że na razie traktuje serio złożone przed zaćmieniem przyrzeczenie, iż jeśli proroctwo się nie spełni – prorok zamilknie.

Wieczorem do szpitali zaczęli dzwonić telewidzowie niespokojni o skutki oglądania transmisji z nieba bez okularów. Na nadbrzeża zaś wylegli paryscy włóczędzy, szczęśliwi, że ich miasto znów uniknęło zagłady.

AGNIESZKA TABORSKA

Paryż 1999